ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 2-go Września 1897. Nr. 35.

„Światło" wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WAŁERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Obok cesarza padł na kolana Kandydus, setki żołnierzy chrześciańskich, a nawet i zastępy wojowników pogańskich, na których ta wymowna chwila uczyniła porywające wrażenie, padły na kolana. Łzy wzruszenia spływały po spalonych licach, każdy to uczuwał, że jakaś wyższa potęga zdruzgotała moc nieprzyjacielską i uwieńczyła chorągwie Konstantyna najwspanialszym wieńcem zwycięztwa.

Krótko po południu, wielka i rozstrzygająca bitwa była wygraną.

Teraz dopiero król Erok przypomniał sobie syna. Zwłoki drogiego młodziana znalazł niedaleko brzegu rzeki. Trzymał jeszcze w śmierci chorągiew silnie w skostniałej ręce. W niemej boleści pochwycił starzec syna w ramiona; wojownicy jego chcieli mu odebrać ten kosztowny ciężar, lecz on nie dopuścił tego.

— Ojciec — rzekł do nich — wprowadził go do życia, ręce też ojcowskie niechaj złożą go w grobie. Zdala od ojczyzny pogrzebię go w obcej ziemi; lecz duch jego znalazł niewątpliwie drogę do Walhali, gdzie bohaterzy ucztują, zażywając szczęścia i chwały.

U stóp rozłożystego cyprysu, na wysokości brzegu Tybru, w pełnej zbroi z twarzą zwróconą ku Wschodowi spuszczono zwłoki młodziana do grobu. U głowy jego postawił Erok tarczę bohatera, a jego wojownicy wycięli na pamiątkę w korze drzewa imię młodzieńca.

Wielka bitwa, która rozstrzygnęła o losach Rzymu i Kościoła, została godnie przedstawioną na obrazie wykonanym przez sławnego malarza Rafaela w Watykanie.

XIV.
Wybawca.

Było to dla Konstantyna rzeczą niepośledniej wagi, aby pobici żołnierze Maksencyusza nie wpadli na pomysł zgromadzenia się za murami miasta, przez co wywiązałoby się jeszcze może długo trwające oblężenie, a następnie po zdobyciu miasta, krwawa walka uliczna, ani też nie mścili się na bezbronnej ludności za odniesioną porażkę przez mordy i rabunki. Jak tylko więc bitwa została rozegraną, dał natychmiast rozkaz swej jeździe, aby drogą wiodącą do Watykanu puściła się do Rzymu, i aby częścią przez most elijski opodal nagrobka Hadryana (dzisiejszy most anielski), częścią zaś przez most janikulański, znajdujący się dalej w dół rzeki, wtargnęli do miasta i obsadzili kapitol i forum. Zarazem zamknięto oddziałami wojska most milwijski i drogę wiodącą

do Watykanu, aby odciąć drogę rozpierzchłym hufcom Maksencyusza. Naczelnemu dowódzcy jazdy przydał Konstantyn do towarzystwa Paulina, częścią aby tenże urzędowo władze miejskie zawiadomił o zwycięztwie cesarza a ostatecznym pogromie Maksencyusza, częścią zaś i to głównie, aby zaspokoić gorące pragnienie senatora, który ciągle jeszcze nie miał żadnej wieści o swych dzieciach, więc pragnął czemprędzej dowiedzieć się o ich losach.

W mieście tymczasem od chwili, gdy doniesiono o rozpoczęciu się walnej bitwy, niepokój wzmagał się z każdą godziną, zwłaszcza gdy Maksencyusz puścił się na pobojowisko i gdy coraz gęstsze zastępy uciekających z pola bitwy dobiegały do miasta, podczas gdy tysiące widzów wracały z cyrku. Wszystko wahało się między nadzieją a obawą; najsprzeczniejsze wieści krzyżowały się z sobą a pogróżki żołnierzy ciągnących gromadami przez ulice miasta, że podpalą miasto na czterech rogach, że tylko kupa gruzów zostanie z Rzymu, jeśli Maksencyusz zostanie pobitym przez Konstantyna, napełniły obywatelstwo niewysłowioną obawą.

Senatorzy zaś po przerwaniu igrzysk cyrkowych, gromadzili się powoli w świątyni Zgody u stóp kapitolu, gdzie patrycyusze zwykle odbywali swoje narady. Wysyłano gońca za gońcem, aby otrzymać pewne wiadomości z pola bitwy; nareszcie nadeszła groźna wieść, że Maksencyusz zginął w nurtach rzeki a bitwa tem samem skończona. Senat natychmiast wyprawił na pole bitwy uroczystą deputacyę, na jej czele nowego prefekta miasta Anniusa Anulina z złotymi posążkami Romy i Zwycięztwa, aby zwycięzcy złożyła hołd i powinszowanie. Zarazem wydał senat rozkaz, na wniosek chrześciańskich senatorów, który jednogłośnie został przyjęty, aby przełożeni więzień państwowych i publicznych budowli natychmiast uwolnili wszystkich oskarżonych i skazanych za obrazę majestatu więźniów.

Jakąż radością i zapałem rozbrzmiewało powietrze, i jak lud błogosławił Konstantyna, gdy z więzień wypuszczono ofiary strąconego tyrana! Jeszcze głośniejszemi stały się radość i zapał, gdy wkrótce potem jazda Konstantyna przez most elijski wkroczyła do miasta i obsadziła forum.

Paulinus, witany przez swoich przyjaciół w senacie jak najserdeczniej, długi czas naprożno dopytywał się o swoje dzieci; nikt nie był w stanie dać mu jakąśkolwiek wiadomość o losach ich; niepokój ojca wzrastał z każdą chwilą. Nareszcie pewien chrześciański senator przyniósł mu radosną wiadomość, że dzieci jego ukrywają się w Willi Kwintilian, leżącej pod miastem na drodze apijskiej, a będącej w posiadaniu pewnej rodziny chrześciańskiej. Ów senator mógł był jeszcze dodać, że od kilku tygodni otrzymywały one wraz z kilku innymi katechumenami naukę wiary chrześciańskiej.

Paulinus wyprawił natychmiast konnego posłańca, aby czemprędzej sprowadził dzieci jego do Rzymu. Gdyby on był wiedział także o chrześcianach skazanych na śmierć w cyrku! Wraz z posłańcem mógł był także wyruszyć oddział jazdy do cyrku, aby ich wypuścić na wolność. Atoli w ogólnem zaniepokojeniu i zamięszaniu, wśród szybko po sobie następujących wypadków nie pomyślał nikt o wyznawcach w dalekim cyrku, i jeśli nie zjawi się niespodziewana pomoc nakształt anioła wybawcy, to okrutny tyran jeszcze w śmierci swojej zażąda swoich ofiar.

Na wiadomość o rozpoczęciu bitwy, udał się biskup Milcyades wraz z kilkoma dyakonami i małą garstką chrześcian już o świcie do katakumb św. Walentego, które dzisiaj są już zupełnie zapadłe, a leżały na wyniosłości od bramy flaminijskiej aż do mostu milwijskiego. Tam znajdował się on niedaleko pobojowiska, aby natychmiast po ukończeniu bitwy nieść pomoc rannym wojownikom chrześciańskim. Z willi, leżącej u wejścia do katakumb na wysokości łańcucha pagórków, można było oglądać w oddali pobojowisko, z bliska zaś pierwszych zbiegów pędzących dro-

gą flaminijską ku miastu, cesarza pędzącego na pole walki, ogólny popłoch i ucieczkę wojsk pobitych; w ten sposób chrześcianie będący u dołu w katakumbach otrzymywali od czasu do czasu wiadomości o przebiegu bitwy. Podczas gdy Konstantyn i wojownicy jego walczyli mieczem, to chrześcianie w gorących modłach wznosili ręce ku niebu na wzór Mojżesza, który modlił się, podczas gdy Izrael bił się z Amalekity.

Nareszcie nadeszła wieść o odniesionem zwycięztwie; wkrótce potem dalsza wiadomość, że Maksencyusz utonął w nurtach rzeki.

Wówczas podniósł się arcykapłan, aby zanucić hymn pochwalny, który niegdyś zaintonował Mojżesz, gdy Faraon zginął z wojownikami swymi w morzu:

Chwalcie Pana śpiewając, gdyż okazał się wielkim w chwale Swojej.

Konia i jeźdźca pogrzebał On w morzu.

Pan jest mocą moją; On moim wybawcą i Bogiem.

Powstał do walki bohater,

— Wszechmocne jest imię Jego —

I strącił wojsko Faraona wraz z wozami ich w przepaść.

Przemocnem okazało się ramię Twoje! jakże dotknęła prawica Twoja nieprzyjaciela;

»Ścigać ich będę« — rzekł — »mój miecz niechaj pogubi je wszystkie.« —

Jedno tchnienie Twoje — a pokryło je morze;

I zatonęli jako ołów w odmętach.

Ty Zbawco, prowadziłeś w łaskawości lud Twój,

I przeniosłeś go miłościwie na mocnem ręku Twoim.

Następnie udał się sędziwy biskup wraz z duchowieństwem i otaczającymi go chrześcianami na pobojowisko. Gdyż jeżeli godziło się, aby w pierwszej linii Kościół rzymski zaniósł zwycięzkiemu cesarzowi dzięki i powinszowania, to niemniej pierwsza godzina zwracająca chrześcianom po trzechsetletnim ucisku wolność, powinna być uświęconą dziełami miłości i miłosierdzia, które po wszystkie czasy były powołaniem i znamieniem Kościoła Chrystusowego. Od oblicza przesławnego zwycięzcy, który w imię ich Boga zniweczył nieprzyjaciela, chcieli Chrześcianie udać się co prędzej do biednych rannych i umierających na pobojowisku, aby w tożsamo błogosławione imię koić ich boleści i pocieszać w godzinie śmierci.

Lecz sędziwy biskup miał jeszcze jeden ważny powód do spiesznego zobaczenia się z cesarzem; tym powodem była myśl o skazanych na śmierć chrześcianach w cyrku. Co się z nimi działo? Czy ich już wycięto do nogi?

Wiedziano, że igrzyska miały być godnie zakończone zgładzeniem biednych ofiar; wyścigi prawdopodobnie jeszcze się nie rozpoczęły, gdy Maksencyusz opuścił cyrk, albo też przynajmniej doznały skutkiem tego przerwy; atóli chociaż papież mógł żywić nadzieję, że wyznawcy jeszcze są przy życiu, to czyż nie groziło im okropne niebezpieczeństwo, że padną ofiarą nienawiści do chrześcian i zemsty dozorców? Konstantyn jedyny mógł ich uratować, to też z troskliwą starannością ojca o swoje dziatki, pobiegł sędziwy biskup do cesarza, aby od niego wybłagać natychmiastowe uwolnienie wyznawców.

Gdy papież ukazał się w obozie, cesarz właśnie odbywał radę wojenną wraz z swym sztabem jeneralnym, a na tej radzie postanowiono jeszcze dziś odbyć uroczysty wjazd do miasta; Konstantyn własnoręcznie przypiął Kandydowi odznaki trybuna wojennego, a na palec włożył mu złoty pierścień. Sam cesarz, jako też jego otoczenie znajdowali się jeszcze pod silnem wrażeniem, jakie uczyniło rozstrzygnięcie się walki dnia dzisiajszego. Uroczystość chwili obecnej podnosiła jeszcze myśl o tylu towarzyszach broni i wysokich oficerach, których brakowało na radzie wojennej, a którzy częścią polegli, częścią zaś śmiertelnie ranni, wyczekiwali śmierci.

Była to chwila dziejowej doniosłości, gdy sędziwy arcykapłan stanął przed młodocianym, świeżo uwieńczonym zwycięztwem imperatorem. Gdy przez trzysta lat imię chrześcijańskie stanowiło dla Rzymu i świata rzymskiego przekleństwo, gdy dotychczas pogańscy cesarze

obawiali się zagłady i strącenia od Boga chrześcian i dla tego nakazali na jego wyznawców najkrwawsze prześladowania i męczarnie, — teraz Konstantyn czuł, że to Bóg chrześcian uwieńczył mu skronie świetnem zwycięztwem, teraz oto pierwszym, który mu przynosił z stolicy hołd i życzenia, był biskup chrześcian. Z trzechsetletniej ciemnicy katakumb wystąpiła oblubienica Chrystusa, Kościół św. przed nowego władcę, ofiarując mu się z pomocą do zbudowania nowego, lepszego i szczęśliwszego świata na gruzach świata starego. Po raz pierwszy zjednoczyły się z sobą w przyjaźni zapowiadającej błogą przyszłość kapłaństwo i cesarstwo, sacerdotium a imperium.



MATCZYNA POCIECHA.

Zjawienie się sędziwego biskupa, jako też prosty i pełen godności ton, w którym przemawiał do cesarza, zrobiły niezatarte wrażenie tak na cesarzu samym, jak na jego otoczeniu. Mimowoli porównywał go Konstantyn z Gordyanem i innymi pogańskimi kapłanami: jakże odmiennym od nich wydawał mu się ten kapłan chrześciański! Konstantyn czuł, że stoi przed papieżem!

Arcykapłan załączył do swych życzeń zarazem prośbę, aby cesarz co prędzej wyprawił gońca na prędkim koniu do cyrku.

Kandydus z uszanowania dla cesarza i papieża przezwyciężył się, nie pytając o swoję matkę, chociaż dusza rwała się, aby z ust papieża otrzymać potwierdzenie wiadomości, którą mu co dopiero posłaniec przyniósł. Na wiadomość, że chrześcianie w cyrku skazani są na zgładzenie, jeśli w ogóle już nie zostali pozabijani, przeszyło duszę jego straszne przeczucie, i zbladły jak ściana zwrócił się z drżącym głosem do papieża z zapytaniem:

— Gdzież jest moja matka?

Milcyades ociągał się z odpowiedzią.

— Czyż i ona...? — zawołał Kandydus, a ponieważ milczenie papieża wymownie mu oznajmiało o losie matki, więc zaraz rzucił się do nóg cesarza, błagając o pozwolenie udania się czem prędzej do cyrku.

Konstantyn rozkazał natychmiast przyprowadzić najrączejszego andaluzyjskiego bieguna; zarazem wyprawił spiesznego gońca do miasta, do głównodowodzącego jazdy, by niezwłocznie wysłał dwie dekurye czyli szwadrony do cyrku, leżącego na drodze apijskiej; następnie podając Kandydusowi własnoręcznie pisany rozkaz, aby więźniów natychmiast wypuszczono na wolność, rzekł:

— Wiadomość o naszem zwycięztwie a upadku Maksencyusza, już zapewnie tamdotąd doszła, a w takim razie więźniowie niewątpliwie zostali uwolnieni; a jeśli nie, to ty będziesz oczekiwanym i mile widzianym posłem, który swoję szlachetną matkę wraz z resztą Chrześcian z tryumfem przyprowadzisz do Rzymu. Ja tymczasem — ciągnął dalej Konstantyn, — wyślę rozkaz do zawiadowcy cesarskiego pałacu Lateranów, aby dla twej matki, jako też dla tych, których będziesz tam chciał umieścić, przygotował jedno skrzydło pałacowe. Teraz zaś spiesz się; Bóg, który nas prowadził aż do Rzymu, poprowadzi i ciebie w objęcia twej matki.

Konstantyn zamilczał z ostrożności myśli o tej możliwości, że Maksencyusz mógł właśnie na przypadek porażki nakazać zgładzić wszystkich chrześcian będących w cyrku; Kandydus także żywił tę samą obawę. Z błyskawicznym pospiechem popędził wskazaną drogą, prowadzącą nad brzegiem Tybru wzdłuż pasma wzgórz watykańskich, ponieważ ta nie była zamkniętą przez ścisk tłumów. Dalej gnał przez dzielnicę zatybrzańską koło cyrku największego (circus Maximus) i kąpieli Karakalli aż do bramy apijskiej. Szlachetny rumak zdawał się wcale nie dotykać ziemi, zwłaszcza gdy przez wspomnianą bramę wyjechali z miasta, a jednak Kandydus życzył sobie skrzydeł. Pędzony wzrastającą obawą, wzdychał i modlił się do Nieba z głębi duszy:

— Daj, abym przyszedł w porę, abym się nie spóźnił!

Wraz z Waleryą zebrała się garść wiernych, po większej części krewnych skazanych na śmierć, już wczas rano około cyrku, aby zwłoki męczenników przenieść na cmentarz Kaliksta; później przybył także dyakon Sewerus z Mincyuszem i innymi grabarzami. Jeden z uganiających się po podwórzu żołnierzy wygadał się, że bitwa już na dobrze zawrzała. Na wiadomość tę, mimowoli odżyła w skazanych nadzieja, że zostaną uratowani. Następnie przybyli pierwsi wysłańcy Rufusa, a więźniowie z trwogą i strapieniem słyszeli, z jaką to radością opowiadali oni o powodzeniu wojsk Maksencyuszowych.

— Panie — westchnęła Walerya z głębi duszy, — spraw, aby ofiara, którą składają ci męczennicy, ubłagała pomoc i zwycięztwo dla Konstantyna! Raz

nawet powzięła myśl, aby gdy męczenników poprowadzą na śmierć, przecisnąć się przez tłumy do nich, wyznać głośno, że i ona jest chrześcianką, aby tym sposobem swoje życie także złożyć w ofierze w celu wymodlenia dobrego wyniku wojny dla zastępów Konstantyna; i tylko wspomnienie na ojca powściągnęło ją od tego kroku. Później przybył trzeci a w krótce i czwarty posłaniec.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JUNAK.

Górą strome skały,
Dołem znów przepaście,
Lata ponad niemi
Sokołów dwanaście.
Gniazdo swe sokoły
Wiją na urwisku,
A junacy w dole
Siedzą przy ognisku.
Kapelusik krągły,
Zielona koszula,
Plecy kryje burka,
Kaftan pierś otula.
Biodra pas otacza,
Złotem ozdobiony,
I dwa pistolety
Patrzą na dwie strony.
A siekierki ostre
Po gałęziach wiszą,
Przy nich długie strzelby
Z wiatrem się kołyszą.
Piękne te siekierki,
Każda wyszczerbiona,
Lecz piękniejsze strzelby,
Każda okopcona.
Gaśnie ogień, gaśnie,
Popiół już w połowie,
Smutni leżą wkoło
Młodzi junakowie.
Leżą jak te drzewa,
Które burza zwali,
Tęsknem okiem wodzą
Po królewskiej hali.
Wieje wietrzyk, wieje,
Ledwie mąci ciszę,
A na krzywej jodle,
Sokół się kołysze.
Przepaść pod tą skałą,
Aż cię biorą dreszcze,
Woła na junaków:
— Gdzie was więcej jeszcze?
Gdzie się podział junak,
Ta twarz piękna, biała,
To ogniste oko
Jako Boża strzała?
Co po górach chodził,
Odzian w złotą zbroję,
Szedł na waszem czele
Na te krwawe boje?

Milczą chłopcy, milczą,
Spuścił każdy głowę:
Czy nie słyszą ptaka?
Czy ból tłumi mówę?
Tylko za pistolet
Chwycił każdy dłonią,
Tylko po tych skałach
Smutnem okiem gonią.
Pod skałami temi
Wokół przez przepaście,
Chodził junak, chodził,
Braci z nim dwanaście.
Wśród dwunastu braci,
Dzielnych górskich dzieci,
Chodził niby miesiąc,
Gdy wśród gwiazdek świeci,
Nieraz tam wyrastał,
Gdzie go nie posiali,
Ale dobrzy ludzie
Nic się go nie bali.
Wszakże biada złemu,
Biada jego duszy,
Kto. lud dobry dręcząc,
Prawo mu naruszy.
Huczy wicher, huczy,
Drzewa gnie w dolinie,
Z wichrem junak spada,
Ciemiężyciel ginie.
Straszny blask po lasach
Od junackich zbroi,
Ludu mój, niech giną
Tak wrogowie twoi!
Oj, wyleciał z lasu
Sokół siwopióry,
Toczy lot swój wkoło
Pod samemi chmury.
Wzleciał sokół, wzleciał
W górę pod obłoki,
Bystrem okiem swojem
Patrzy w jar głęboki.
W ciemny jar głęboki,
Gdzie wysokie skały,
Tam niedawno jego
Drużyny hulały.
Darmo, mój sokole,
Szuka twoje oko,
Ten nasz dobry junak
Śpi już tam głęboko.

Spi już on głęboko,
Nic go nie obudzi,
Ani ranna zorza,
Ni płacz biednych ludzi.
Stoczon bój zacięty
Na królewskiej hali,
Na junaków mnodzy
Zbrojni czatowali.
Grzmiały strzelby, niby
Z gromem błyskawice,
Zwiędło ci tam jedno
Piękne, młode lice.
Zwiędło jako róża,
Gdy ją mróz owionie,
Lala się krew młoda,
W trawę padły skronie.
Młodą krew rozlaną
Czarna ziemia piła,
A ta dobra dusza
Z ciałem się dzieliła.
Na królewskiej hali
Stoją tam trzy skały,
Pośród skał wygląda
Jakiś kopiec mały.
Niżej w przepaść spada
Z głośnym hukiem struga,
Wyżej biegnie ścieżka,
Niby wstęga długa.
A kto tylko chodzi
Drożynkami temi,
Każdy na mogiłę
Rzucza garstkę ziemi.
Rośnie kopiec, rośnie,
Aż do wysokości,
Pod nim spoczywają
Junakowe kości.
Młódź z królewskiej hali,
Gdy owieczki pasie,
Koło kopca igra
W pięknym letnim czasie,
Kraśne dziewki kładą
Wieńce na tym grobie,
O junaku młodym
Nucą piosnki sobie.
A na surmach chłopcy
Grają w głosy wieszcze:
Były czasy, były,
Da Bóg, będą jeszcze!...

S. Chalupka, przeł. Grabowski.

KS. KAROL MYŚLIWIEC.

KAPŁAN PATRYOTA.

Naszem hasłem: Bóg i wiara!
Naszem godłem: miłość, zgoda!
Naszą siłą: to ofiara!
A wygraną: to swoboda!

Pod takiemi znaki wrogów
Zwyciężymy i wyprzemy
Daleko z ojczystych progów,
Lecz oręża nie złożymy!

Takiemi wzniosłemi słowy przemawia do nas w poemacie »Nasz oręż« śp. ks. Damroth (Czesław Lubiński), znany przecież łaskawemu Czytelnikowi pieśniarz ślązki; takiemi słowy zachęca nas, abyśmy się brali »do oręża, — który nigdy nie zawodzi; — nie zaczepia, a zwycięża, — rani, chociaż w krwi nie brodzi!«

A orężem tym, wojenną sztuką i bronią — to praca i oświata:

Hej więc, bracia, do oręża,
Który każdy dźwigać może:
Kmiecie, rzemieślnicy, księża
I niewiasty — w imię Boże!...

I jak daleko po ślązkiej naszej ziemi się rozejrzymy, wszędzie zaprawdę spostrzegamy już budzące się z większego uśpienia rzesze naszego ludu, a gdzie jeszcze o rzeszach mówić nie można, tam przynajmniej jednostki chwytają za ten oręż, aby przykładem swym zagrzać liczniejsze zastępy i pociągnąć je za sobą.

Co poeta pałający gorącą miłością do Ojczyzny, do tej ziemi naszej polskiej, »Ojców krwią i znojem, użyznionej, poświęconej« — wymarzył, to zamieniają rzeczywiście w czyn kmiecie: nasz ludek wiejski, rzemieślnicy, wszystkie stany naszego polsko-ślązkiego społeczeństwa, a zaszczytna i szczególnie pocieszająca rzecz, że i niewiasty coraz liczniej w szeregi walczących za sprawę ojczystą i pracujących dla niej wstępują.

Gdy po nadto wśród szerokich tych mas oko nasze dostrzega kapłanów wiodących jak pochodnie świecące lud na drogę oświaty, to zapewne stanowi to w naszych smutnych warunkach bytu niezwykły urok, tem więcej gdy wiadomem jest, z jakiemi przeciwnościami każdy kapłan polskiego ducha na Ślązku musi się liczyć...

A jednak przecież mamy takich kapłanów i nie napróżno wzywa ich zgasły kapłan-poeta »do oręża«...

Młody wiekiem, lecz zasłużony pracą dla oświaty ludu ś. p. ksiądz Karol Myśliwiec (zmarł 4-go Maja 1897) jest tego najwybitniejszym dowodem, a jeżeli, poświęcając mu niniejsze wspomnienie, poprzedzam takowe wzmianką o zmarłym przed trzema laty ks. Damrocie, to czynię to właśnie dla tego, aby tem lepiej i serdeczniej uwydatnić, że śp. ks. Karol Myśliwiec okazał się godnym tych haseł, jakie starszy od niego wiekiem i stanowiskiem, niezapomnianej pamięci ks. Damroth w swych szczerze patryotycznych pieśniach wypowiadał.

»... Nie cudem (pisał ks. Damroth) — ale trudem, wiarą, miarą i ofiarą, zostaniemy wolnym ludem«. A ks. Myśliwiec całem swojem postępowaniem w życiu swem krótkiem (liczył umierając dopiero 30 lat), ale obfitem w owoce, udowodnił dostatecznie, że hasło to było dla niego myślą przewodnią... Prócz tego oddając cześć i ostatnią wzniosłą usługę młodemu kapłanowi patryocie, chciałem zarazem wznowić wspomnienie drogiego sercu naszemu kapłana-poety, którego wymarzonym ideałem niewątpliwie ś. p. ks. K. Myśliwca nazwać można...



KS. KAROL MYŚLIWIEC.

Ś. p. ks. Karol Myśliwiec urodził się w Sprzęcicach pod Kalinowicami, w powiecie Strzeleckim, graniczącym z powiatem Opolskim, z rodziców wieśniaków, posiadających skrzętną pracą dobrze zagospodarowane chłopskie gospodarstwo. Zmarły ukończył szkoły w Opolu, na kapłana kształcił się na wszechnicy Wrocławskiej, po wyświęceniu był przez pewien czas w domu, gdyż z powodu dającej się już uczuwać choroby wewnętrznej musiał po skończonych mozołach niestrudzonej pracy na wszechnicy, szukać wypoczynku i ratunku dla zagrożonego zdrowia; następnie był zmarły blisko dwa lata kapelanem w Kamieniu (w pow. Strzeleckim), miejscu rodzinnem św. Jacka, poczem został powołany ze względu na wątlejące coraz bardziej zdrowie na mniej uciążliwe stanowisko kapelana przy kościele św. Wojciecha w Opolu. Tu zakończył śp. ks. Myśliwiec swą krótką ziemską pielgrzymkę, wstąpiwszy w rok 31 życia.

Można powiedzieć, że śp. ks. Myśliwiec nagiął się ku ziemi i złamał, jak kłos brzemienny nadmiernością plonu. W krótkiem bowiem swem życiu zdziałał, jak już zaznaczyliśmy, wiele dobrego. Rodzice mieli z niego wielką pociechę i prawdziwą chlubę, gdyż jako uczeń opolskiego gimnazyum, a następnie student św. teologii odznaczał się wzorową przykładnością i celował w naukach, zaś jako kapłan posiadał wszystkie te zalety i cnoty, jakich od kapłana z woli Bożej i powołania Bożego spodziewać się było można. Przyjaciele mieli w nim najlepszego kolegę, a nie tylko bardzo go kochali i poważali, lecz byli dla niego z osobliwą czcią i uwielbieniem, gdyż spostrzegali w młodym koledze i kapłanie, — oddającym się od wczesnych lat młodzieńczych aż do ostatniego prawie tchnienia z zapałem i dziecięcą, że tak powiemy, tkliwością sprawie ojczystej, dla której obok swego wzniosłego zawodu kapłańskiego żyć i pracować pragnął, — owego szermierza niestrudzonego, który Bogu wiernie służąc jako kapłan, ludowi miał być światłem i przewodnikiem, bodźcem i przykładem dla umiłowania swej mowy, swej ziemi, swych obyczajów ojczystych.

W krótkim przeciągu życia swego napisał śp. ks. Karol Myśliwiec stósunkowo bardzo wiele pouczających artykułów i rozpraw dla ludu, ale i dla in-

teligentniejszych warstw społeczeństwa, aby je zapoznać ze stósunkami i ruchem narodowym na G. Ślązku.

Pisywał głównie i prawie wyłącznie do »Gazety Opolskiej«, raz dla tego, że z okolicy opolskiej pochodził, a nadto dla tego, że z powstaniem »Gazety Opolskiej« rozbudził się nowy ruch w kresowej, a zupełnie zaniedbanej okolicy G. Ślązka, który to ruch według sił popierać i ożywiać uważał sobie zmarły za rzecz pożyteczną i bardzo potrzebną.

Już w pierwszych zaraz numerach »Gazety Opolskiej« pojawił się artykuł ks. Myśliwca pod napisem: »Co to jest agitacya wielkopolska«, (nr. 12 z dnia 14-go Listopada 1890 r.) Była to pierwsza praca, którą zmarły, będąc jeszcze akademikiem, podał do druku. Redakcya nie domyślała się autora, gdyż artykuł był nadesłany z Prus Zachodnich, gdzie młody akademik przez kilka tygodni przebywał, a nosił przybrany podpis »Jan Pakuła«, za którym to pseudonimem ukrywał się w całym szeregu dalszych artykułów, zanim prawdziwe nazwisko odsłonił.

W artykule »Co jest agitacya wielkopolska?« dowodzi autor, że zarzut jakiejś »agitacyi wielkopolskiej« wymyślili germanizatorzy z Bismarkiem na czele, aby uniewinnić przed światem walkę rozpoczętą przeciw religii i narodowości Polaków. Gdy zaś i Ślązacy stanęli w obronie praw swych przyrodzonych, wtenczas zaczęto także wołać: »To agitacya wielkopolska!« i to do tego stopnia, że nie wahano się nawet śpiewu kościelnego i nauczania dzieci polskiego czytania tem mianem napiętnować.

I cóż na takie postępowanie odpowiedzieć? Oto — powiada autor — starajmy się tych panów (do których także niestety z obozu katolickiego niektórzy należą) w ten sposób uspokoić:

»... Nie obawiajcie się żadnej »agitacyi wielkopolskiej«, której nigdy nie było i nie ma, a którą dla ustraszenia waszego mistrz wasz tylko wymyślił. My Polacy na Śląziku wiemy, że Pan Bóg tylko jeden naród polski stworzył, do którego i my należymy i tylko jeden język polski, który i my posiadamy. Wiemy, że jesteśmy równie dobrymi Polakami, jak bracia nasi z nad Wisły i Warty, że mamy równe prawo i obowiązek skarbów naszych najświętszych, to jest mowy i narodowości naszej polskiej bronić. A jeżeli wy postanawiacie nawet na wiecach katolickich agitacyi wielkopolskiej się oprzeć, to pozwólcie, że my to tak rozumiemy, jak gdybyście chcieli język nasz polski wytępić i zniszczyć, poczucie nasze narodowe przygnębić i wygasić!...«

Dawszy w ten sposób zaraz w pierwszej swej pracy wyraz oburzenia i szlachetnej urazie z powodu zniewagi, jakiej doznaje naród polski, a w szczególności lud górnośląski, wypisuje tem samem autor na swym sztandarze hasło do pracy w celu obrony ludu polskiego i obudzenia w nim samowiedzy i poczucia godności własnej.

Ta myśl przewodnia przebija we wszystkich jego następnych pracach, które tak jako akademik, jak następnie jako kapłan napisał.

Wymieniam mianowicie następujące rozprawy: »O Słowianach;« — »Mikołaj II-gi, przedostatni książę opolski;« — »Co każdy Ślązak z historyi swego kraju wiedzieć powinien?« — »Jak Prusacy cywilizowali Śląsk!« — »Początki odrodzenia Śląska;« — »Kiermasze na Śląsku;« — »O bogactwie i piękności języka polskiego Ślązaków;« — i wreszcie »Ojczyzna«.

Wielką wartość ma obszerna rozprawa »O bogactwie i piękności języka polskiego Ślązaków«. Rozprawa ta wyjdzie bardzo prawdopodobnie w osobnem wydaniu, więc łaskawy Czytelnik będzie miał sposobność bliżej się z nią zapoznać.

Ojczyzna jest, jak słusznie pisze Stanisław Bełza w warszawskim »Kuryerze Codziennym«, najszlachetniejszym, prawdziwym śpiewem łabędzim zmarłego. To też w artykule »Ojczyzna« pięknie i wzruszająco przemawia śp. ks. Karol Myśliwiec, że

»tylko narody bez dziejów nie mają ojczyzny. Cygan nie wie, gdzie jego ojczyzna — bo cygan nie ma historyi. Cygan nie wie, gdzie jego przodkowie walczyli, czem byli, czego szukali, co cierpieli i czem się radowali, i dla tego jest bez ojczyzny. Lecz niestety są na świecie jeszcze inni ludzie, którzy są gorsi od cyganów, bo nie chcą mieć ojczyzny. Są tacy którzy pragną wmówić w nasz lud, iż on nie ma ojczyzny, mamy tylko Ślązaków. Ale cóż to jest ten Ślązk? Jest to cząstka wielkiej ziemi, która pod różnymi znajduje się rządami, ale jest polską, dawną, starą Polską. Ślązk to Piastów dziedziczna ziemia. Tu lud od wieków polski, tu przedmurze, na które niemieckie rycerstwo, niemieccy panowie przez długie wieki nacierali. Ślązk, Mazury, Kaszuby, to nazwa pewnych działów ziemi, która w swej całości polską zwie się ojczyzną. Ale w końcu może kto powie: Ojczyzna nie może mu nawet butów sprawić. Więc czy warto kochać ojczyznę, czy warto być Polakiem? Na to odpowiemy króciutko: Przeklęty syn, przeklęta córka, która się od zubożałych odwraca rodziców. Polak, który się wyrzeka swej niegdyś bogatej i wspaniałej ojczyzny, dla tego, że Polska dziś jak wdowa uboga w poszarpanych przez wrogów chodzi szatach i nie obiecuje synom swoim honorów, zaszczytów, chwały i korzyści, nie jest godzien być i zwać się Polakiem«.

Tak przemawia do nas kapłan-patryota. A słowom jego towarzyszą czyny. On bowiem gromadzi jako akademik rozproszonych kolegów śląskich i zachęca ich do łączności i kształcenia się w sprawach ojczystych; on przesyła do Towarzystwa Czytelni Ludowych, nie wyjawiając swego nazwiska, lecz przez pośrednictwo znajomych, zapomogi na książki i stara się o zakładanie bibliotek ludowych; on jako kapłan podejmuje u siebie gościnnie młodzież gimnazyalną, poucza ją, a niezamożnych wspiera własnemi szczupłymi funduszami.

Zaprawdę budujący to typ kapłana Polaka; w historyi odrodzenia Śląska będzie on miał miejsce w pierwszym rzędzie tych szermierzy, dla których żadne poświęcenie, żadna ofiara nie była za wielką, gdy chodziło o złożenie jej na ołtarzu Ojczyzny. Do tego łagodny charakter, który mu nigdy, nawet w najzaciętszej polemice, nie pozwolił wybuchnąć, spokój, który go nie opuszczał, a rozbrajał i przekonywał przeciwnika, oraz ujmujące oblicze i cała postawa dodawały uroku tej szlachetnej duszy i uzupełniały dodatnio sympatyczną osobistość zmarłego.

Krótko przed śmiercią, gdy już coraz więcej czuł, że go siły opuszczają na zawsze, rzekł z ubolewaniem:

»Chciałbym tylko chociaż tak żyć jeszcze, bo obowiązki mojego powołania nie są tu uciążliwe, i mam wygodę, a mógłbym obok zwykłych zajęć tak wiele jeszcze pracować dla sprawy ojczystej«.

Lecz Pan Bóg inaczej rozporządził i pozostawił nas i ziemię śląską po tak wielkiej stracie w smutku i żałobie... Lecz naszem hasłem: Bóg i wiara; — naszem godłem: miłość, zgoda!...

Idźmy, póki nam sił tu w tej doczesnej pielgrzymce i w boju za świętą sprawę ojczystą starczy, za przykładem śp. ks. Karola.

Ty zaś, Szermierzu, spoczywaj sobie
Po życia trudach w spokojnym grobie
Przy Odry naszej szumiącej fali,
Co nad Twym wczesnym zgonem się żali;

Ptaszek nad grobem niechaj Ci nuci,
Że w śląskiej ziemi wiosna powróci,
Że duch Ślązaków zbudzi się dzielny,
Że naród polski jest nieśmiertelny;

Bo póki na swych ojczystych łanach
Takich ma wodzów w zacnych kapłanach,
Widać, że Pan Bóg nam błogosławi,
A choć doświadcza, jednak wybawi....

Opole, w Sierpniu 1897 roku.

Bronisław Koraszewski.

BITWA POD BYCZYNĄ.

Miasto Byczyna, położone u granicy ślązkiej nad granicą królestwa Polskiego i księstwa Poznańskiego liczy niespełna 3000 mieszkańców. Miejscowość ta odegrała w dziejach Polski ważną rolę; tu bowiem stoczono w roku 1588 zwycięzką bitwę z Maksymilianem, arcyksięciem austryackim.

Po śmierci Stefana Batorego, zmarłego w Grodnie 13-go Grudnia 1586 roku, w Polsce zaczęły się rozterki, na czele których stanęła rodzina Zborowskich, wrogo usposobiona przeciw kanclerzowi i hetmanowi Zamoyskiemu za to, iż jako starosta krakowski, wedle prawa ściąć kazał pojmanego bannitę Samuela Zborowskiego, ich brata. Zborowscy otoczeni dziesięciotysiącznym zastępem zbrojnych i tłumem przyjaciół, stawili się na pole elekcyjne, gdzie również i Zamoyski z odpowiednią siłą przybył. Jako kandydatów do korony polskiej, na polu elekcyjnem zgromadzonej szlachcie przedstawiono: Maksymiliana, arcyksięcia austryackiego, brata cesarza Rudolfa II-go, sprawę którego popierał nuncyusz papiezki, Anibal z Kapui i Stanisław Pawłowski, biskup ołomuniecki; Zygmunta, syna Jana króla szwedzkiego i Katarzyny, siostry owdowiałej królowej Anny i Teodora Wielkiego, księcia moskiewskiego, szwagra Godunowa. Wybór Maksymiliana popierali Zborowscy, Górkowie i ich stronnicy; Zygmunta zaś, królowa Anna i kanclerz Zamoyski. Po długich, burzliwych naradach, sporach i kłótniach, znużone umysły stanów tak długo ciągnącą się elekcyą, wobec korzyści jakie krajowi zapewniał wybór Zygmunta, poczęły się przechylać na jego stronę i wszystkie partye przeciwne Zborowskim złączywszy się, dnia 19 Sierpnia 1587 roku większością głosów królem obwołali Zygmunta Wazę.

Mimo to, zborowianie, nie uznając dokonanego wyboru, w dniu 22 Sierpnia przez Woronieckiego, biskupa kijowskiego, królem okrzyknęli Maksymiliana, który zawiadomiony o tym wyborze, w dniu 6-go Października z licznem wojskiem, opatrzonem w działa i wszelki sprzęt wojenny, wtargnął do Polski, a zająwszy poblizkie okolice Krakowa, osiadł w klasztorze mogilskim tuż pod Krakowem będącym. Tymczasem król Zygmunt III-ci, odebrawszy dyplom elekcyjny i złożywszy przysięgę na »Pacta conventa« w klasztorze oliwskim pod Gdańskim, ruszył do Krakowa, dzielnie broniącego się przeciw pokuszeniom Maksymiliana. Zamoyski w czasie tego, wyparowawszy zborowszczyków z Wiślicy, zajął Kraków i w dniu 25-go Listopada pod Krakowem, między wsią Promnikiem a przedmieściem Biskupie Mzwanem, stoczył bitwę z wojskami Maksymiliana, które w ciągu dwóch godzin spędził z pola i zmusił do pospiesznego cofnięcia się. Pobity Maksymilian opuścił okolice Krakowa, udając się do Częstochowy, gdzie miał czekać na posilki przybyć mające z Austryi.

Po koronacyi Zygmunta III-go, odbytej w Krakowie 27-go Grudnia 1587 roku, zaraz w pierwszych dnia Stycznia następnego roku, Zamoyski spiesznym pochodem puścił się w pościg za Maksymilianem, który pod tę porę znajdował się pod Wieluniem, oczekując przybycia Jana Zborowskiego i Jazłowieckiego. Posłyszawszy o nadciągającym Zamoyskim, Maksymilian skwapliwie wszedł do Śląska, sądząc, że Zamoyski za granicę Polski w cudze posiadłości nie wkroczy, i tu, pod Byczyną, miasteczkiem dobrze obronnem i na wszelki wypadek działań wojennych bardzo dogodnem, rozłożył się obozem. Wojska Maksymiliana przewyższały o wiele siły ścigającego go Zamoyskiego, nie tylko liczebnie, lecz nadto wyborem ludzi i uzbrojeniem. Zamoyski nie miał ani dział większego kalibru, prócz kilku pomniejszych działek, ani piechoty, prócz kilku chorągwi, nie mogących podążać tak śpiesznie za hetmanem goniącym Maksymiliana, jazdy zaś złożonej

z najwybitniejszych starozaciężnych żołnierzy, acz był dostatek, to jednak była ona w opłakanym stanie, wskutek braku paszy dla koni i trudów, jakie poniosła w czasie pościgu. Nie w jednem też miejscu łatwo mogła była być Zamoyskiemu wzbroniona przeprawa, zwłaszcza gdy zbliżając się do Byczyny, miał do przebycia długą i wązką groblę, oblaną z obydwóch stron rozległemi i grzązkiemi bagnami. Maksymilianiści pewni zwycięztwa nad nadciągającym Zamoyskim, nie bronili przeprawy, dali mu nawet dosyć czasu do uszykowania pułków swoich tuż niemal pod murami Byczyny.

Dnia 25 Stycznia 1588 r. Zamoyski, nie czekając, rozpoczął atak na jazdę niemiecką, puszczając na nią kozaków pod wodzą Hołubka, lecz gdy tenże poległ i kozacy cofać się poczęli, wtedy Stanisław Stadnicki, zwany »Djabłem«, stronnik Maksymiliana, z kopijnikami swoimi uderzył naprawe skrzydło Zamoyskiego, rozpoczynając bitwę, której los przez czas niejaki na wątpliwej trzymał szali, przełamany jednak przez Stanisława Żółkiewskiego, tył poddać musiał. Podczas tej walki, na prawem skrzydle wojsk polskich, lewe skrzydło i środek wojsk Zamoyskiego, toczyły zacięty bój z pułkami niemieckimi, które poparte silnym ogniem działowym, powstrzymywały lekko uzbrojonych Polaków od gwałtownego natarcia i przedłużały walkę. Za ponownem jednak natarciem kopijników, Pękosławskiego i Koniecpolskiego, z miejsc swoich ruszone wojska niemieckie, a nadto pozbawione przez to pomocy dział swoich, zmięszane w szyku i nieumiejące walczyć z Polakami, uzbrojonymi w broń odpowiednią do takiej walki, doznały srogiego pogromu, nie mogąc zaś ratować się pospieszną ucieczką w ciężkiej będąc zbroi — wszystkie prawie poległy na placu walki. Widząc ten straszny pogrom, Maksymilian schronił się



WIDOK MIASTA BYCZYNY.

po za mury Byczyny, dokąd Zamoyski prosto z pobojowiska wojska swe poprowadził i miasteczko, jakby żywym wieńcem otoczył, a nadto paszcze dział zabranych Maksymilianowi, ku murom twierdzy skierował. Maksymilian, widząc się pozbawionym wszelkich środków obrony, zażądał trzydniowego rozejmu. Zamoyski jednak odmówił takowego i zatoczywszy bliżej działa, mury miasta tłuc rozkazał, zapowiadając, iż mieszkańców w pień wytnie, jeżeli dobrowolnie się nie poddadzą. Wówczas Maksymilian wyjednał dla siebie wolność rokowania i wysłał do Zamoyskiego dwóch radców swoich, dla umówienia się o wyzwolenie go. Gdy jednak rokowania te przedłużały się i Zamoyski spostrzegł, iż starano się jedynie o zyskanie na czasie, aby tem snadniej wyśliznąć się było można z krytycznego położenia, zażądał stanowczo, aby Maksymilian wraz z całym swoim orszakiem oddał się w niewolę. Nie mogąc żadnej ulgi wytargować na Zamoyskim, Maksymilian o godzinie trzeciej w nocy wyszedł z warowni i poddał się Zamoyskiemu, który go spotkał na moście tuż u bramy, witając dostojnego więźnia skromną przemową. Wraz z arcyksięciem do niewoli dostali się, biskup kijowski Woroniecki, hrabia z Górki, Jędrzej Zborowski, marszałek nadworny koronny, Aleksander książę Pruński, Stanisław Ciołek Żelechowski i inni znaczniejsi przywódzcy; Stanisław Djabeł Stadnicki zaś, prosto z pola bitwy ratował się ucieczką. Następnego dnia, to jest 26-go Stycznia, zabrane łupy podzielone zostały między żołnierzy, wszystko bowiem co mieli maksymilianiści w obozie i miasteczku, stało się zdobyczą zwycięzcy. Zamoyski zabrał jeno działa wojenne, zbroje i amunicyę, oraz złote i srebrne sprzęty Maksymiliana, których wartość opłacił, wykupując je od żołnierzy. Po trzydniowym odpoczynku, Zamoyski z wojskiem zebranem, z Maksymilianem i pojmanymi panami polskimi, ruszył z pod Byczyny wprost do Krasnegostawu, w województwie lubelskiem, gdzie arcyksięcia Maksymiliana pod strażą na zamku osadził.

W ZAROŚLACH AUSTRALSKICH.

(Ciąg dalszy.)

Dziki znowu pokazał na harmonikę.

— A, a, życzyłbyś sobie, aby Billy zagrał znów dla ciebie? i to się może zaraz załatwić, tylko powiedz, czy nic już więcej nie znalazłeś przy tym trupie?

— Pełny worek leży pod drzewem.

— I ty go nie wziąłeś?

Dziki potrząsnął głową pokazując na migi, że nie mógł tego zrobić.

— Jak daleko ztąd leży ten trup?

Dziki trzy razy przesunął ręką po czwartej części drogi słońca.

— Zatem niewięcej jak dziewięć godzin. Czy możesz mię tam doprowadzić?

— Yes — rzekł Bullijong — tytoń, cukier i damper.

— Będziesz je miał — odpowiedział Bob i szepnął Wilhelmowi: — jeśli się nie mylę, to odziedziczymy po zmarłym poszukiwaczu złota. Wiem, że kilku gambusin'ów wybrało się w góry, dla wyszukania nowych złotodajnych miejsc i dlatego pójdę tam jutro, a tymczasem trzeba zagrać wesołą jaką polkę, aby utrzymać czarnego w dobrem usposobieniu.

Gdy Wilhelm uczynił zadość temu żądaniu dziki nie posiadał się z radości. Całe jego ciało drżało konwulsyjnie i twórcy owej polki z pewnością nigdy na myśl nie przyszło, gdzie i jakiego znalazł wielbiciela swego talentu.

Późno bardzo zakończyła się ta muzykalna zabawa — obydwaj biali położyli się na swych łóżkach, a czarnemu wyznaczono na spoczynek kąt szałasu.

II.

Nazajutrz rano wybrał się Bob na awanturniczą wyprawę, wydawszy Wilhelmowi dokładne wskazówki, co ma robić przez dwa dni jego nieobecności. Nie było to zresztą żadną nowością dla niego, gdyż nieraz zdarzało się, że Bob nie mając chęci doglądania owiec, powierzał Wilhelmowi to zajęcie.

Bob opatrzywszy starannie strzelbę zabrał ze sobą worek z zapasami żywności, flaszkę wódki i duży gliniany dzbanek napełniony wodą, gdyż było do przewidzenia, że tam wysoko w górach, w tej porze roku ani kropli jej znaleźć nie będzie można.

Naturalnie, Bullijong mający być przewodnikiem musiał przyjąć na siebie część tego ciężaru.

Była siódma godzina rano, gdy Wilhelm odprowadziwszy podróżnych aż do skraju lasu pożegnał się z nimi.

Niełatwo przychodziło staremu owczarzowi podczas największego upału przedzierać się przez gąszcza, dążąc do wierzchołków gór; trzeba było czasami wlec się przez piaszczyste wąwozy, czasami zaś torować sobie drogę przez krzaczaste i kolczaste zarośla, zostawiające długie szramy na ciele podróżnych, a wtedy Bullijong się śmiał, Bob zaś klął, ile tylko mógł.

Od jedenastej do drugiej po południu odpoczywano i ulżono ciężarowi wziętych ze sobą zapasów, tylko z wodą, niesioną w glinianym dzbanku obchodzono się jaknajstaranniej, gdyż był to nietylko skarb niczem nieopłacony, lecz było to więcej jeszcze, było to życie.

Zmęczony aż do zupełnego wyczerpania sił, doszedł Bob do celu swej pożądliwej ciekawości, do którego doprowadził go Bullijong z zadziwiającym instynktem dzikich ludzi w prostej linii bez najmniejszego zboczenia ani na prawo, ani na lewo.

Był to piaszczysty, usiany kamieniami wąwoz pomiędzy górami, z obu stron gęsto zarosły drzewami gumowemi i mimozami, który widocznie podczas dżdżystej pory był łożyskiem znacznego strumienia, teraz jednakże był tak suchym i spieczonym od żaru słońca, jak i na wiele mil naokoło cała pustynia.

U podnóża starego, uschniętego drzewa gumowego, leżały zwłoki nieszczęśliwego gambusin'a zapewne już od kilkunastu tygodni.

Bez żadnej wątpliwości przyczyną jego śmierci był brak wody i żądza nagromadzenia większej ilości złota, jak to się często zdarza australskim awanturnikom, którzy zapuściwszy się w odludne góry, przykuci do pewnego miejsca niepohamowaną chciwością zbierania z każdym dniem coraz więcej nastręczającego się złota, nagle zaskoczeni zostają nastaniem suszy i oddaleni o wiele mil od większych rzek, razem z nagromadzonemi bogactwami marnie ginąć muszą.

Tak się stało zapewne z leżącym tu młodym, zaledwie może 30 lat liczącym, silnej budowy człowiekiem, który najdłużej ze wszystkich swych towarzyszy wytrzymując straszne męczarnie pragnienia, napróżno starał się dostać do rzeczki Erskine, którąby mogła dać mu ocalenie od okropnej śmierci. Nie sądzono jednakże mu było osiągnąć tego i nie więcej jak o 20 mil angielskich od celu, znalazł samotną śmierć, męczarnie zaś jej towarzyszące odbiły się na strasznie wykrzywionych rysach jego twarzy. Domyślać się zaś można, że takiż sam los spotkał i jego towarzyszy, których kości bielały już teraz może daleko gdzieś w górach...

— Nieszczęśliwy człowiek! — zamruczał do siebie Bob patrząc z politowaniem na leżące przed sobą zwłoki — no, jeśli tu przyszedłem, to postaram się, abyś został uczciwie pochowanym, zanim cię zwietrzą żarłoczne sępy.

Tuż przy zmarłym leżała skórzana, zamknięta torba podróżna, napełniona bezwątpienia złotem i obciągnięta pokryciem perkalowem, którego deseń przedstawiający czerwone, jaskrawe krzyże i półksiężyce przerażał przesądnego dzikiego Bullijong'a i nie dozwolił mu się dotknąć przedmiotu, uważanego przez niego za dzieło nieczystej siły.

Mimowoli musiał się uśmiechnąć Bob widząc jakie pełne trwogi spojrzenia rzucał jego czarny towarzysz na ową torbę ukradkiem i myśląc jak nic nie znacząca rzecz, kilka jaskrawych kolorów, wystarczyło do zabezpieczenia od ciekawości tego człowieka, wielkich może bogactw w torbie się zawierających. Podniósłszy ją przekonał się, że była bardzo ciężką, przypuszczać więc można było, że napełnioną jest złotem, gdyż inaczej trudno byłoby odgadnąć powód, dla którego śmiertelnie znużony człowiek wlókł by ją ze sobą.

Uważał jednak za konieczne o swych nadziejach nic nie wspominać swemu przewodnikowi, a raczej utwierdzić go w mniemaniu o czarnoksięskiej władzy posiadanej przez czerwoną torbę. Na cóżby zresztą przydać się mogło złoto temu dziecinnemu jeszcze stworzeniu? Stary Bob uważał się więc za prawowitego spadkobiercę zmarłego gambusin'a.

— Masz rację Bullijong — odezwał się po chwili — ta torba jest zaczarowaną i jeśli tylko byś się jej dotknął porwałby cię zaraz zły duch, tylko nam białym nic on złego zrobić nie może.

— Uf! — zajęczał czarny z przerażeniem patrząc się na niebezpieczny przedmiot położony teraz na ziemi przez owczarza, który uklęknąwszy przy zwłokach przeszukiwał kieszenie zmarłego. Nie znalazł żadnych papierów mogących dostarczyć mu jakichbądź wskazówek, tyczących się pochodzenia gambusina, lecz różne drobne rzeczy, a pomiędzy niemi i kluczyk od torby; prawdopodobnie czując coraz więcej niknące siły porzucał podczas drogi wszystkie cięższe rzeczy, zachowując tylko drogocenną torbę, na której mosiężnej blasze wyryte były litery B. W.

Bob dał teraz do zrozumienia czarnemu, że trzeba, aby mu dopomógł do pogrzebania zwłok. Obadwaj zanieśli je do zagłębienia utworzonego zapewne przez wodę, przy brzegu wąwozu i tam nasypali tyle piasku i ziemi ile było potrzeba do zrobienia dość wysokiego grobu.

Następnie powróciwszy do miejsca, gdzie leżała jaskrawa torba, rozwiązali worek z zapasami chcąc posilić się przed udaniem się na spoczynek.

Zamiarem Adams'a było wstać rano chociażby o 3. godzinie, aby korzystając z porannego chłodu ujść znaczną część drogi.

Długi czas nie mógł Bob usnąć, gdyż ciągle dręczyła go myśl, co zawierać może ta torba, której nie chciał otworzyć, obawiając się, aby Bullijong nie przestał wierzyć w czarodziejską jej władzę.

Z nastaniem dziennego brzasku czarny był już na nogach, a i Bob też przecierał sobie oczy.

Po skończeniu śniadania składającego się z twardych damper'ów i zimnej baraniny, napiwszy się wódki ruszyli z powrotem do szałasu.

Bob Adams z łatwych do zrozumienia powodów zmuszonym był dźwigać czerwoną torbę, ważącą najmniej 50 funtów. Było to wprawdzie dosyć utrudzającem, lecz pocieszała go myśl, że na ramionach swych niesie własne szczęście i że nie będzie potrzebował na resztę dni swoich ciężko pracować dla utrzymania życia.

Strzelbę i inne rzeczy włożył na czarnego swego towarzysza, który się poddał temu bez oporu. Około dziewiątej godziny rano przyszli na to samo miejsce, gdzie dniem wprzódy długo odpoczywali i zatrzymawszy się tu podczas największego upału, dopiero w parę godzin po południu puścili się w dalszą drogę. Przed samem nadejściem nocy przybyli do szałasu nad Erskine, gdzie Wilhelm serdecznie ich powitawszy, powinszował staremu owczarzowi dopięcia swego celu.

Bob niezmiernie był strudzonym i umierał prawie z pragnienia, gdyż wzięty przez nich zapas wody nie wystarczył w czasie tak długiej podróży, która nie zdawała się przyczyniać żadnego zmęczanie czarnemu, gdyż otrzymawszy od Adams'a polecenie przyniesienia z lasu drzewa, zrobił to tak ochotnie i rześwo,

jakby nie wracał z dwudniowej i uciążliwej drogi.

— Wysłałem go dlatego — rzekł Bob — abyśmy swobodnie mogli zobaczyć co zawiera ta torba. A teraz Billy, myślę, że zawitało do nas szczęście, a tem co znajdziemy podzielimy się po bratersku.

Otworzywszy torbę, znalazł niektóre rzeczy służące do ubrania, a pod niemi leżały dwa skórzane worki napełnione bryłkami złota, wagi około 45 funtów.

— Nigdybym nie uwierzył aby tam w górach była taka obfitość złota — zawołał Bob z zadowoleniem — szczęście nam się nareszcie uśmiechnęło, Billy; ja zostanę, o czem zawsze marzyłem, szynkarzem w Bathurst, lub innem jakiem wesołem mieście, a wy będziecie mogli powrócić do kraju i poślubić waszę narzeczoną.

— Jesteście bardzo wspaniałomyślni Bob'ie — rzekł wzruszony Wilhelm — lecz czy nie należałoby dać coś także temu dzikiemu z tego niespodziewanego bogactwa? Wszakże i jemu należy się nagroda.

— Dostanie on nagrodę. Wiem pewną rzecz, która go więcej ucieszy, niż wszyskie złoto Australii, jest to ta stara harmonika, która zrobi go najszczęśliwszym ze wszystkich czarnych śmiertelników. Prócz tego oddamy mu wszystko co się tu znajduje, gdyż opuszczając niezadługo na zawsze to miejsce, już tego nie potrzebujemy.

Zrobiwszy to postanowienie, zamknął Adams napowrót torbę i zaproponował swemu towarzyszowi przyrządzenie tęgiego groku, gdyż tak szczęśliwy dzień należało się uroczyście obchodzić, w czem i czarny Bullijong powinien był wziąść udział.

Gdy ten, powróciwszy z pełnem naręczem drzewa dowiedział się, że w nagrodę za przewodniczenie w wyszukaniu zwłok gambusina dostanie codowną harmonikę, radość jego granic nie miała, skakał i tańczył jak dziecko około choinki na wilię Bożego Narodzenia.

Zaczęła się więc uczta, przy której uszczęśliwiony Bullijong tak wiele wypił ponczu, że wkrótce musiał się w kącie szałasu położyć spać.

Bob i Wilhelm długo w noc siedzieli przy dogasającem ognisku, w przyjacielskiej rozmowie tworząc rozmaite plany na przyszłość. (Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

* **Szatny, Szatnia.** Komorę do chowania szat, t. j. odzieży, futer, bielizny i t. p. nazywali dawniej Polacy: szatnią, szatownią, szatarnią lub szatnicą. Szatny na dworach książąt, panów i możnej szlachty, był to dworzanin lub sługa, zwany inaczej szatniczym, do którego należał dozór nad szatnią i szatami a zwykle i zbrojownią, żeby wszystko było w należytym porządku. On zamykał kosztowności, zabezpieczał futra, dozorował krawców i kuśnierzy, którzy do domów zawsze szyć przychodzili, czyścił drogie szaty, przygotowywał i ubierał pana swego w żupan, kontusz, delię lub szubę, stósownie do pory roku i potrzeby, posiadał sztukę zawiązywania pasa i składał go starannie po użyciu, aby nie został uszkodzony. Jeszcze w drugiej połowie 18 wieku spotykamy szatnych i panny szatne czyli garderobiane. Z dawnych spisów odzieży i z notatek domowych widzimy, że Polacy o ile w dni powszednie ubierali się najprościej, o tyle w chwilach uroczystych lubili występować »szatno,« czyli strojnie, szaty zaś swoje utrzymywali zawsze w największym porządku, przekazując je nieraz dla dzieci i wnuków.

FRASZKI.

* **W aptece.** Małe bobo przychodzi do apteki i żąda cukierków na kaszel.

Aptekarz: Czy tych cukierków potrzebujesz dla siebie, moje dziecko?

Bobo. Tak, cukierki są dla mnie, ale kaszel ma... moja babcia.

* **Mała różnica.** Przy kontroli podatkowej, rewizor zapytuje aktora:

— Nie masz pan gdzie jakich kapitałów, listów zastawnych, lub coś podobnego?

— Listów zastawnych? — powtarza zdumiony aktor — chyba pan rewizor ma na myśli... kwity zastawne?

* **Godzien litości.** — Zlituj się pan, mam sześcioro dzieci.

— Nic nie dam.

— Teściowę jeszcze mam w domu.

— Nieszczęśliwy! Masz, masz!

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 2-go Września 1897. Nr. 35.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Najazd sąsiedzki.

(Dokończenie.)

Goście weszli. Pan Eustachy spojrzał badawczo do koła i zatrzymał wzrok w kierunku łóżka, poczem wyciągnął rękę w tymże kierunku. Sąsiedzi wybuchnęli śmiechem, a Michałowi szpakowata czupryna dębem stanęła na głowie.

Z pod łóżka wystawała para grubych zapylonych butów.

— Cóż to ja widzę? — zawołał pan Eustachy, to twój pan taki zbytnik, że aż ma dwie pary butów?

— Jakto dwie? — odparł Michał, siląc się na czelność.

— No, w jednej przecie pojechał a druga leży pod łóżkiem.

— He, he! to się jaśnie panu tak tylko wydaje...

— Wydaje? alboż to nie buty?

— Ależ to cuda! — zawołał, śmiejąc się pan Józef, twój pan ma nietylko dwie pary butów, ale i dwie pary nóg!

— E, e, e, to się tak tylko zdaje...

Wtem z pod łóżka rozległo się potężne kichnięcie.

— Na zdrowie, na zdrowie! — zawołali chórem sąsiedzi.

— Ależ to płuca, jak kichnął wczoraj na wyjezdnem, to aż do dziś słychać!

Zdradzony kichnięciem pan Mateusz, wyczołgał się z pod łóżka, wstał i przecierając oczy niby zaspane, zawołał z udanem zdziwieniem:

— A! to wy? witam, witam kochanych gości... jakże się macie? Czemużeś mi nie powiedział, stary trutniu, że panowie przyjechali?

— A... a... bo jaśnie pan przecie wyjechał wczoraj...

— Tak... tak... ha, ha, ha! wiecie? zabawne zdarzenie. Miałem wczoraj wyjechać... tak, Michał dobrze mówi... miałem wyjechać... i, wyobraźcie sobie, kluczyk upadł mi pod łóżko... wlazłem tedy i ja pod łóżko, i jak zacząłem szukać, szukać, tak nareszcie zasnąłem i przespałem się do tej pory.

— Dobrze się stało, żeś przespał tę podróż, bo to dziś twoje imieniny i przyjechaliśmy ci powinszować.

— Moje imieniny? zkądże znowu!

— Przecież Mateusz...

— Tak, niby... ale właściwie w metryce jestem zapisany jako Roman i obchodzę moje imieniny zawsze 29-go Lutego.

— Raz na cztery lata!... Trudno mój kochany, znamy cię od dziecka Mateuszem i dziś chcemy wypić twoje zdrowie.

— Ja duchem polecę po wodę! — zawołał Michał.

— Tak, leć, mój Michałku, — rzekł gospodarz. — Chcecie świeżej wody? dziś taki upał... wino wam zaszkodzi.

— Bądź spokojny. Piliśmy wczoraj u Eustachego i chcemy dziś wybić klin klinem.

— Bójcie się Boga! możecie zachorować; ja miałbym stać się przyczyną waszej słabości, wydatku na doktorów? Moje sumienie mi na to nie pozwala.

— Z góry dajemy ci rozgrzeszenie, a ty za to daj wina. Chyba, że nam żałujesz?

— Co? ja, żałuję? Ha, ha, ha! wyborny to sobie ten Gucio... ja miałbym żałować dla kochanych sąsiadów i to jeszcze w moje imieniny... choć to nie są moje imieniny... ale kiedyście przyjechali, to i tak was uczęstuję. Michał! biegaj do piwnicy... przynieś tego, wiesz... dwie butelki... tego... od Arona.

— Ho, ho, bratku, to chcesz nam dać lurę od Arona? A gdzież się podział tokaj po twoim ś. p. ojcu?

— Hm... jest, ale widzicie, ja to chowam na wesele.

— Na czyje?

— No, na przypadek... gdybym się kiedy ożenił.

— To każ go przynieść tymczasem, a jak nas na ślub zaprosisz, to ci damy takiego samego i tyle, ile dziś wypijemy.

— Za kogóż mnie to macie? — ofuknął się pan Mateusz. — Albożto ja skąpiec, liczykrupa? Michał, przynieś tokaju! A nie potłucz butelek, bobyś musiał do śmierci za darmo służyć.

Michał przyniósł wino, goście wypili zdrowie solenizanta, poczem pan Eustachy zagadnął:

— A o której u ciebie obiad? powiem ci, żeśmy djabelnie głodni.

— Otóż masz! — zawołał pan Mateusz, — ja właśnie pozwoliłem kucharzowi iść na jarmark.

— Przeczuwałem to i właśnie przywiozłem swojego.

Pan Mateusz zbladł.

— Więc wy naprawdę zostaniecie na obiedzie?

— I na wieczerzy nawet. Zabawimy u ciebie do jutra.

— Ależ ja nie mam łóżek, pościeli...

— To nic; przecież siana nie zabraknie.

Przerażony pan Mateusz stracił głowę.

— No, to dysponujcie sami — rzekł i usiadł w kącie.

Przywołany kucharz otrzymał dyspozycyą obiadu i wiecerzy od pana Eustachego, posłano konnego po mięso do miasteczka, pan Józef wziął w opiekę klucze od spiżarni, a pan Mateusz, ocknąwszy się z bolesnej zadumy, udawał wesołego, chodził między gośćmi i mówił:

— Gospodarujcie sami, proszę, bawcie się, jedzcie, pijcie... ludzie mówią, że ja skąpy... ot, złe języki!

W parę godzin zastawiono obiad. Pan Mateusz jadł za czterech, aby choć trochę skorzystać przy tak wielkiej stracie. Rozochoceni goście zasiedli wieczorem do wista, a gospodarz, chodząc po pokojach gasił nieznacznie świece. Lecz pan Eustachy nie spuszczał z niego oka i zgaszoną świecę zapalał natychmiast na nowo. Nareszcie rzekł.

— Nie dmuchaj tak, kochany sąsiedzie, bo możesz dostać suchot.

— Ja... bo widzisz, cierpię na oczy i światło mnie razi.

— No, proszę, a chwaliłeś się zawsze, że masz wzrok sokoli. Ale słuchaj, dajno jeszcze butelkę.

— A dam, dam, z największą chęcią, — mówił, wzdychając pan Mateusz.

Goście bawili się do późnej nocy, popijając po kropelce. Nazajutrz po obfitem śniadaniu, przy którem pękło jeszcze kilka butelek na strzemienne, pan Eustachy zaprosił wszystkich do siebie, ale pan Mateusz odmówił.

Radby był choć parę dni powetować, jedząc u sąsiada, ale nie mógł odjechać z domu, nie obliczywszy strat poniesionych.

— Przyjadę za kilka godzin... muszę przecie dać dyspozycye Hajdukiewiczowi.

Pomimo tej obietnicy pan Mateusz nie zjawił się wcale u pana Eustachego. Natychmiast po odjeździe gości zabrał się do liczenia pustych butelek, spalonych świec, spotrzebowanej mąki, masła, a gdy Grzela na dobitkę, z sześciu rubli, danych na mięso, zwrócił tylko dwadzieścia dwie i pół kopiejek reszty, pan Mateusz schwycił się za głowę i — położył się do łóżka.

Dostał żółtaczki.

Głuche wieści niosą, że przez pół roku potem jadł tylko chleb suchy i kartofle ze solą, dla wyrównania deficytu.

Dzień ten stał się epoką w jego życiu. Gdy opowiadał później o jakiemkolwiek zdarzeniu, zaczynał zawsze z ciężkiem westchnieniem:

— Było to w rok potem, jak mnie najechali kochani sąsiedzi...

Ucieczka z więzienia na Rodos.

Przed kilku tygodniami głośną była ucieczka czterech »Młodoturków«, majora Achmeda Beya i trzech lekarzy, z więzienia na wyspie Rodos, gdzie zamknięto ich jako członków niebezpiecznej dla rządu tureckiego partyi politycznej. Obecnie major Achmed Bey ogłosił opis ucieczki wraz z niektórymi charakterystycznymi szczegółami, dotyczącymi więzień tureckich.

Na wyspie Rodos, położonej na morzu Śródziemnem, tuż przy brzegu Azyi Mniejszej, znajduje się wioska Rodos, otoczona murem fortecznym. Jest to twierdza jedna z najsilniejszych na morzu Śródziemnem, służąca obecnie wyłącznie jako miejsce zamknięcia więźniów zwykłych i politycznych. Przymusowi »mieszkańcy« tej wioski stanowią najróżnorodniejszą mieszaninę języków i narodowości: obok Araba z Yemen siedzi Arnauta, obok Armeńczyka Syryjczyk, Grek lub Kurd. Obok pospolitego zbrodniarza, który dla kil-

ku piastrów dopuścił się mordu lub rabunku, pędzą dni w smutku i odosobnieniu inteligentni młodzieńcy, należący do partyi młodotureckiej lub jej podobnych, dążących do wprowadzenia do spraw tureckich ładu i porządku. W oczach dozorców wszyscy więźniowie są sobie równi, zbrodniarze jednak, odsiadujący karę za wykroczenia przeciwko prawu pospolitemu, korzystają od czasu do czasu z przywilejów, przyznawanych przez władzę sułtańską, których nigdy nie znają przestępcy polityczni. W razie amnestyi tylko przestępcy pospolici rachować mogą na ułaskawienie.

Pewnego dnia — pisze Achmed Bey — przyjechał na Rodos pomocnik walego, Serveri bej, który zapowiedział, iż przeniesieni będziemy do twierdzy w Pias, odznaczającej się tak zabójczym klimatem, że najzdrowsi ludzie nie mogą tam dłużej nad rok wytrzymać. Zapowiedź ta równała się wyrokowi śmierci, postanowiliśmy tedy bądź co bądź ratować życie ucieczką, w ostatnim zaś razie, gdyby ucieczkę samą lub jej zamiar dostrzeżono, przysięgliśmy sobie zginąć z bronią w ręku, tak, aby w najgorszym razie tylko trupy nasze powrócono murom więziennym.

Salih Efendi, człek doświadczony w rzeczach ucieczki, znalazł sposobność dostarczenia nam statku greckiego za cenę 30 funtów tureckich. Teraz należało tylko obmyśleć drogę i sposób wydostania się z twierdzy. Po długiem szukaniu znaleźliśmy zapomniane przejście podziemne, zamknięte w samym środku kratą żelazną. Nareszcie po tygodniowej pracy udało się nam kratę usunąć. Upewniwszy się, iż statek oczekuje na nas niedaleko od wybrzeża, przekonawszy się nadto, iż najlepszą do ucieczki jest pora obiadowa, zapuściliśmy się w przejście podziemne. Przez dwie godziny trwała ta wędrówka w w ciemności, aż wreszcie ujrzeliśmy błękit nieba i zwierciadło morza, na morzu łódkę maleńką, ktora zawiozła nas na pokład okrętu. Rozpuściliśmy natychmiast żagle i pomknęliśmy szybko naprzód, gdy tymczasem na dziewiątej mili zapanowała cisza morska. Przerażeni widmem pogoni, rzuciliśmy się do wioseł. Posuwaliśmy się jednak bardzo wolno naprzód. Noc zapadła, a gdy słońce zabłysło, widzieliśmy jeszcze w oddali wybrzeża Rodosu, w obec czego byliśmy przekonani, iż wpadniemy znów w ręce władz tureckich, prosiliśmy tedy kapitana, aby nas wysadził na pobliskie skały, sam zaś, aby z okrętem oczekiwał w pobliżu. W ten sposób mogliśmy ujść pogoni władz tureckich, które przedewszystkiem szukałyby nas na pokładzie okrętu.

Dzień cały spędziliśmy na skałach o głodzie, w pospiechu bowiem zapomnieliśmy wziąć ze sobą żywności. Wieczorem kapitan okrętu zabrał nas na okręt z powrotem i znowu zaczęliśmy robić wiosłami, bo cisza trwała wciąż. Dzięki nadludzkim wysiłkom dotarliśmy do wybrzeża anatolijskiego, gdzie w grocie nadbrzeżnej tymczasowe znaleźliśmy schronienie. Wyczerpały nam się zapasy wody a w pobliżu nie było ani rzeki ani strumyka. Po dwudziestu czterech godzinach dokuczliwego pragnienia wyruszyliśmy w głąb kraju, gdzie znaleźliśmy pole zasiane pomidorami, na które rzuciliśmy się tak gwałtownie, iż po godzinie wszyscy dostaliśmy kurczów żołądka.

Przez całą noc następną wiosłowaliśmy zawzięcie, napróżno wyczekując na ustąpienie złowrogiej ciszy morskiej, a przez całą noc przepłynęliśmy zaledwie jednę milę morską. Wreszcie przybiliśmy do wysepki greckiej Amorgos, gdzie przez dziewięć godzin wlekliśmy się, upadając z głodu, podobni do szkieletów raczej niż do ludzi, tak nas zmaltretowały głód i niewygody. Nareszcie blizcy już śmierci, dotarliśmy do portu Amorgos. Tu dopiero, po czterech dniach głodu, dostaliśmy nieco ryb. Zaledwie zaspokoiliśmy pierwszy głód, ujrzeliśmy żandarmów greckich, którzy uwięzili nas aż do czasu otrzymania wyraźnej instrukcyi z ateńskiego ministerstwa wojny. Sześć godzin trwała ta nowa niewola, poczem wsiedliśmy na okręt francuski, którym przybyliśmy do Marsylii.

Prawdziwy urok.

Pewnego dnia idąc ulicą ujrzałam młodą panienkę bardzo pięknie ubraną. Patrząc na nią pomyślałam sobie:

— Chciałabym wiedzieć, czy ta młoda osoba o tyle pragnie mieć szlachetne i dobre serce, o ile się stara przyozdobić wdzięczną swą postać?

W tej samej chwili spostrzegłam jakiegoś starego człowieka obciążonego, ogromną paką drewnianą. Dwa czy trzy razy próbował wejść w podwórze przyległej kamienicy. Za każdą razą brama zamykała się ciężko, nim jeszcze biedak potrafił zupełnie ją otworzyć.

— Proszę poczekać! — zawołała miłym, dźwięcznym głosem wystrojona

panienka, podchodząc ku niemu, — potrzymam póki pan nie przejdziesz.

Zrobiła to natychmiast i ukłoniwszy się dziękującemu starcowi, oddaliła się szybko z uśmiechem na ustach.

Ten prosty postępek jej uspokoił mię zupełnie. Poznałam zaraz, że ta panienka nie była zajętą zbytecznie ani sobą, ani swoim strojem, ale przeciwnie myślała o drugich i o tem, żeby im zawsze jakąś przysługę wyświadczyć.

Praktyczne rady.

— **Wygodny i tani kit.** Zwyczajny ałun roztopiony na większej blaszanej łyżce tworzy wyborny i mocny bardzo kit, służący do ścisłego spajania metalu ze szkłem. Przydatnym jest mianowicie, aby trzymać lampy petrolejowe mocno w ich metalowych oprawach i podstawach i aby rysy i dziureczki w ich dnach zapełnić, albowiem przez kit taki nie przesiąknie nigdy petroleum. Kitu takiego nie powinno nigdy zabraknąć w gospodarstwie domowem, aby można prędko, skutecznie a tanio zapobiedz rozmaitym wypadkom z lampami petroleowemi.

— **Zatęchłe miski,** garnki i dzbanki należy przed użyciem dobrze wysiarkować, to jest potrzymać je przez czas jakiś w dymie palącej się siarki.

Rozmaitości.

* **Zapomniany lud słowiański.** Odrębnym zupełnie ludem słowiańskim są Riezanie, którzy mieszkają w północnych Włoszech na pograniczu Austryi. Jest to najmniejszy szczep słowiański, gdyż liczy obecnie tylko 3700 głów. Nie posiadają oni osobnej literatury, nikt im też nie udziela opieki. Rząd włoski dąży do zwłoszczenia tej garstki Słowian, to też za lat kilkanaście nie będzie zapewne Riezanów na świecie.

Baudouin de Courtenay, profesor uniwersytetu krakowskiego, jest pierwszym, który podał bliższą wiadomość o tej gałązce słowiańskiej. Dwadzieścia cztery lata stracił uczony krakowski nad badaniem ludu riezańskiego. Owoc tych badań złożył w obszernem dziele, które wyszło w Petersburgu nakładem cesarskiej akademii nauk pod tytułem: »Riezańskie teksty«. Obszerne to dzieło, zawierające 755 stron wielkiego formatu, opisuje mowę Riezanów, ich narzecza i piśmienne pomniki.

Zadziwiać może słusznie u Riezanów wielka liczba narzeczy czyli dyalektów. Co wieś inne narzecze. Wsie riezańskie noszą następujące nazwy: Biła, Lipowac, Rawanca, Križaca, Solbica, Niwa, Osojano i Uczja.

W sławnem dziele Szafarzyka: »Slowansky Narodopis« jest wzmianka o Riezanach, ale czeski uczony zalicza ich do Słoweńców, gdy tymczasem Baudouin de Courtenay uważa ich za odrębne plemię słowiańskie. Nazwa Riezan pochodzi od rzeki Rjezy.

Za odrębne plemię słowiańskie możnaby także uważać Słowińców nad morzem Bałtyckiem. Jest to właściwie odnoga Kaszubów w Pomeranii, zamieszkała w okolicach jeziora i miasta Łeby. O ile wiadomo, pisał o nich wyłącznie Hilferding, uczony rosyjski, który umyślnie zwiedzał wybrzeże Bałtyckie, aby opisać ginących Słowian w tych stronach. Nazwa Słowińców powstała niewątpliwie z tych czasów, kiedy Słowianie tworzyli jeden naród używając wspólnej nazwy Słowian.

* **400 rocznica jarmarków.** W roku bieżącym mija lat czterysta od czasu, kiedy cesarz Maksymilian udzielił Lipskowi przywileju na urządzanie jarmarków. Z biegiem wieków jarmarki te zyskały sławę wszechświatową i dotąd jeszczeześrodkowują cały niemal ruch handlowy. Postanowiono zatem uczcić tę rocznicę jubileuszowym obchodem, a wstępem do uroczystości jest, urządzona właśnie w Lipsku »Sasko-turyńska wystawa przemysłowo-rzemieślnicza«. Właściwa zaś uroczystość jubileuszowa odbędzie się w tygodniu jarmarcznym, — od 31 sierpnia do 5 września. Przygotowania już rozpoczęto, a między innemi odsłonięty będzie w nowym »domu kupieckim« posąg cesarza Maksymiliana, założyciela jarmarków lipskich. Akt ten stanowić ma otwarcie uroczystości jubileuszowych, których program jest już ułożony i będzie w krótce ogłoszony.

ZAGADKI.

1.

złe	by	bre	szło
do	wy	ma	co
Nie	go	na	nie

Odczytać znane przysłowie.

2.

Pierwsze gdy zechcecie
W rzędzie rzek znajdziecie,
Wspak drugie jest litera,
Trzecie alfabet zawiera,
Czwarte znów jest rzeka
Ztąd dosyć daleka.
Całość będzie
W bożków rzędzie.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 33:

1.

Trafił frant na franta i wyciął mu kuranta.

2.

A
A G A,
P L A T O
Z Y G M U N T
A G A M E M N O N
Z I E M B I N
M E N E S
D O N
N

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Jan Badura z Roździenia, Antoni Waranka z Wybranówka.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.